

Piszę siebie od początku

Wyrastam z naiwnej wiary w to, że aktorstwo to coś więcej niż tylko zawód. Wbrew pozorom nie jest to bolesna konstatacja. Bardzo dobrze się z tym czuję, że jestem 34-letnim facetem, któremu skoczył testosteron z tego powodu, że ma mały statek (fundację), którym dowodzi, a nie jest tylko pionkiem w grze – mówi KAMIL MAĆKOWIAK, którego monodram pt. „Amok” będzie miał premierę 29 listopada.

Justyna Muszyńska-Szkodzik: - Minął rok od momentu, gdy pożegnał się pan z Teatrem im. Jaracza...

Kamil Maćkowiak: - Po odejściu z teatru zweryfikowałem ocenę samego siebie. Zaczęło się od tego, że przestałem siebie lubić jako aktora Teatru Jaracza, byłem zbyt roszczeniowy, sfrustrowany. Okazało się, że nie jest to kwestia mojego charakteru, tylko miejsca pracy. Gdy zacząłem pracować na swoim, piszę siebie od początku. Teraz zupełnie inaczej odbieram wszystko to, co irytowało mnie w teatrze repertuarowym, np. że coś jest niezrobione, choć 15 osób za to odpowiada. Gdy trzeba w fundacji coś zrobić, po prostu to robię. Bardzo zmieniła się moja optyka. Poprawiła mi się samoocena.

Nie żałował pan odejścia...

- Nawet przez mikrosekundę nie żałowałem odejścia z Jaracza, a jedynie tego, że nie zdecydowałem się na to dwa lata wcześniej. Ten etap jest już zamknięty, wszystkie żale zostały przepracowane. Od ponad roku zajmuję się czymś zupełnie nowym, co budzi inne wyzwania i lęki.

Premiera „Amoku” jest takim wyzwaniem?

- Tak, zdecydowanie. Przygotowuję premierę w Łodzi i jednocześnie gram w Warszawie. W Teatrze Polonia występuję w premierowej sztuce „Kolacja kanibali” w reżyserii Borysa Lankosza i gram swojego „Niżyńskiego” w Teatrze Polskim. Wszystko dzieje się trochę na wariackich papierach. Moja fundacja ma pełne ręce roboty, bo realizuje wiele projektów na raz, m.in. cykl szkoleń dla organizacji pozarządowych.

Monodram „Amok” powstaje na bazie autobiografii Jamesa Freya „Milion małych kawałków”, która opowiada o wychodzeniu z narkomanii i alkoholizmu. Łatwo było przełożyć książkę na język teatru?

- To była moja działka, bo jestem autorem scenariusza. Borykałem się z wieloma problemami technicznymi, np. jak w monodramie zagrać dialog, który jest mocno wpisany w prozę Freya. Udało mi się to osiągnąć dzięki scenografii, którą stanowią komiksy narysowane przez Piotra Chrzanowskiego specjalnie do spektaklu. Ogłosiliśmy konkurs na tego typu scenografię. Będę rozmawiał na scenie z komiksowymi postaciami, wyświetlanymi w formie multimedialnych animacji. To będzie ciekawa oprawa kolejnego mrocznego tematu, który chcę pokazać.

Interesują pana tylko mroczne rewiry?

- Wszystkie mroczne rewiry są mi bliskie, chyba mam taką konstrukcję psychiczną. Jednak zdecydowanie wolę przeżywać te problemy na scenie niż w życiu. Jest to dla mnie wentyl bezpieczeństwa – mogę zagrać chorobę psychiczną czy uzależnienie od alkoholu, a nie muszę

wchodzić w te stany naprawdę. Nie trzeba pewnych rzeczy przejść, żeby je zagrać i być wiarygodnym na scenie. To kwestia empatii i rozbuchania wyobraźni. Nie ukrywam, że jeśli biore się za projekty autorskie, to lubię pogrzebać w mrokach ludzkiej duszy, bo jest to dla mnie bardziej fascynujące niż praca nad czymś lekkim. Chociaż gram też lżejszy repertuar. Zapraszam w sylwestra na „Ławeczkę” – zabawną sztukę, którą robimy z Ewą Audykowską-Wisniewską.

Uzależnienia, choroby psychiczne, problemy z tożsamością i innością... Wierzy pan, że teatr może pomóc człowiekowi w tych sprawach?

- Wierzę, że teatr może uświadomić, dotknąć trudnych obszarów w nas. Nie jestem zwolennikiem teatru intelektualnego. To nie jest moja bajka. To, czego oczekuję i sam chcę dać widzom, to emocje. Potrzebuję teatru emocji. Sam jestem po sześciu latach terapii i nie wierzę, że coś może nas samoistnie zmienić. Spektakl raczej może nas uświadomić, rozpocząć proces zmian.

Walczył pan z opiniami, że „Diva show” to spektakl autobiograficzny. Czy ludzie uwierzyli, że Maćkowiak jest obsesyjnym fanem Tiny Turner z depresją i zaburzeniami osobowości borderline?

- Zaskoczyło mnie, że publiczność od razu tak jednostronnie odbierała ten monodram i identyfikowała mnie z bohaterem „Divy”. Zdarzały się takie spektakle, podczas których ludzie mówili do mnie: „Panie Kamilu, powinien pan iść do psychologa, pomóc sobie, szkoda pana”. Ludzie bardzo łatwo przekraczali teatralne granice. Najpierw mnie to martwiło, ale później doszedłem do wniosku, że jest to właśnie fenomen tego monodramu. Wystarczyło, że na początku spektaklu zrobiłem jedną aluzję do siebie, wyświetliłem jedną projekcję ze swojego dzieciństwa i to już widzom wystarczyło. A przecież „Diva” nie jest o mnie, nic mnie z granym bohaterem nie łączy. Jestem w miarę spełnionym człowiekiem, mam dosyć poukładane życie osobiste, nie chciałem być nigdy kobietą, tym bardziej Tiną Turner, nie mam tego typu fantazji. Zaskoczyło mnie nawet, że w jednej recenzji krytyk doszukiwał się elementów autobiografii tak dalece, że dziwiło go, że na scenie nie było nic o odejściu z Teatru Jaracza.

Mówił pan, że „Diva będzie przytulała wszystkie kompleksy i odmienności, które są w człowieku. To jest hymn dla wszystkiego, co jest w nas kalekie”. Udało się?

- W pewnym stopniu tak, bo jest to stand-up, na który publiczność bardzo żywiołowo reaguje – ludzie wchodzi na scenę, rozmawiają z bohaterem. Otwierają się, pod koniec premiery nawet zaczęli mnie przytulać. Wiem też z reakcji na Facebooku, że wiele osób potrzebowało takiego tematu i wiele odnalazło się w tym stanie zaburzeń osobowości borderline. Zrealizowałem swoje marzenie, bo zawsze chciałem przekraczać granice relacji scena-widownia, wejść w interakcję z publicznością.

Powiedział pan też: „zrozumiałem, że praca powinna być jednym z elementów, a nie całym życiem. Nie robię sobie teraz na scenie autoterapii...”.

- Na pewno nie jest to autoterapia w znaczeniu dosłownym. Może autoterapeutyczne jest tylko podejmowanie pewnych tematów, ale niemożliwe jest przerobienie ich na scenie. Dopiero po czasie okazuje się, że niektóre spektakle mi pomogły, przez granie pewnych ról coś się we mnie zmieniło. Niedobrze by było, gdybym dobierał sobie role według takiego autoterapeutycznego klucza. Z pokorą też nauczyłem się przyjmować, że jestem maszynką do zagrania spektaklu i muszę zrealizować na scenie pomysły reżysera. Teraz przyszedł czas na równowagę – robię swój monodram i gram w Teatrze Polskim oraz u Krystyny Jandy.

Jest pan mistrzem monodramu - najpierw „Niżyński”, później „Diva show”, teraz „Amok” - lubi pan być sam na scenie?

- Dobrze mi jest na scenie samemu, to jest dla mnie wyzwanie. Lubię realizować swoje autorskie pomysły, ale tak naprawdę robię monodramy, bo nie stać mnie na zrobienie większej sztuki. Ambicje prezesa fundacji sięgają dalej, ale na to trzeba mieć pieniądze. Nie znajdę reżysera innego niż Maćkowiak, który zrealizuje spektakl za darmo i jeszcze w nim sam zagra. Chciałbym robić spektakle „większe”, wieloobsadowe, ale obecnie nie stać nas na to, a dofinansowania, dzięki którym egzystujemy, nie pozwalają jednak na takie przedsięwzięcia.

Wyjechał pan z kultowym „Niżyńskim” do Warszawy. Czy spektakl zmienił się w stolicy?

- „Niżyński” bardzo się zmienił w każdym aspekcie, począwszy od scenografii. Oczywiście zmieniła się też moja rola, wchodzę w postać coraz głębiej, gram jeszcze bardziej ekstremalnie i czekam momentu, aż dojdę do granicy wytrzymałości widza i mojej. Poza tym nigdy „Niżyński” nie był tak zabawny, jak teraz. Na scenie staram się akcentować wszystkie komiczne momenty, które zdarzają się mojej postaci, a wcześniej bazowałem tylko na traumie choroby psychicznej. W Teatrze Polskim walczę o widza. Jestem tam anonimowy, a w Łodzi miałem wrażenie, że publiczność przychodziła tylko na mnie. Jest to ciekawe doświadczenie, zwłaszcza że otrzymałem bardzo dobre recenzje, a po przedstawieniach miałem owacje na stojąco.

Czym jest dla pana aktorstwo?

- Teraz już jest pracą. Wyrastam z naiwnej wiary w to, że aktorstwo to coś więcej niż tylko zawód. Wbrew pozorom nie jest to bolesna konstatacja. Bardzo dobrze się z tym czuję, że jestem 34-letnim facetem, któremu skoczył testosteron z tego powodu, że ma mały statek (fundację), którym dowodzi, a nie jest tylko pionkiem w grze. Cieszę się, że idę w trochę innym kierunku, tzn. jeszcze gram, ale nie wyobrażam sobie siebie w wieku 50, 60 lat jako wyłącznie aktora, który czeka na role. Ten zawód za bardzo bazuje na emocjach, weryfikowaniu samooceny poprzez publiczność, reżysera, dyrektora teatru. W zawodach nieartystycznych tego nie ma. Nie odpowiada mi ciągła walka o potwierdzenie własnej wartości. Chcę ją zbudować i o nią dbać, a nie ciągle poddawać próbie.

To znaczy, że przyjdzie czas, że nie zobaczymy pana w teatrze?

- Mam apetyt na przekraczanie granic tego zawodu. Chciałbym coraz bardziej zarządzać fundacją, a nie tylko występować na scenie. W Warszawie nawet zaproponowano mi etat w teatrze, ale na razie odmówiłem. Chcę zająć się fundacją.

Działacie już od czterech lat. Chcecie stworzyć nową scenę teatralną w Łodzi...

- Dostaliśmy nawet propozycję konkretnej siedziby dla teatru. Myślę jednak, że na to jeszcze za wcześnie. Chcę się przyjrzeć rynkowi, nauczyć się dobrze prowadzić taką instytucję w atrakcyjnym dla mnie, ale trudnym dla kultury mieście, bez stałego dofinansowania. Przez ostatnie dwa lata pozbyłem się naiwności, jestem bardziej sceptyczny i mądrzejszy o pewne doświadczenia. Szczerze mówiąc, trochę przeraża mnie tempo, w jakim rozwija się fundacja. Uczę się menedżerowania, nowego miękkiego stylu zarządzania, bo wydaje mi się, że jestem zbyt szorstkim szefem.